



TYGODNIK ILLUSTROWANY DLA DZIECI.

PRENUMERATA WYNOŚI:

W WARSZAWIE rs. 4, na prowincyi w kraju i za granicą rs. 5 — stosownie do téj ceny półroczna i kwartalna.

Biuro Redakcyi Mazowiecka Nr. 8.



POD ZWROTNIKIEM.

Roślinność pod zwrotnikiem zupełnie różni się od naszej, jak to łatwo spostrzegamy na załączonym obrazku. U nas drzewa o grubym, twardym pniu, mają rozłożyste lecz z drobnymi liśćmi gałęzie, kiedy tam przeciwnie rozrastają się w liście szerokie. Pomiedzy wielkimi drzewami i szeroko-listnymi krzewami pnie się tysiące roślin, które czepiając się między sobą, są schronieniem wielu gadów, będąc zarazem niedostępną dla człowieka.

BAŚŃ O PAPROCI

p. Z. Merawska.

Dawno już, bardzo dawno żył możny kniaź; obiaty wierne bogom składał, nad ludem możnym a bitnym przewodził,

nieprzyjaciół moc pokonał, lud swój jako ojciec miłował, i w dalekiej słynął krainie. Słynął z mężnych bitew, z dobroci swojej, jako też z obronnego, niełatwego do zdobycia zamku, zbudowanego na wysokiej górze. Góra była stroma, miejscami obrosła krzakami i powikłanem zieleń, miejscami zarosła wielkimi drzewami; u stóp zaś góry szumiał bystry Dunajec, który lepiej bronił możnego knezia, aniżeli najwyższe wały i najgłębsze fosy. Gdy miano wychodzić na nieprzyjaciela, rzucano most na rzekę, a gdy kneź ze swoimi pozostawał w domu, most ściągano, łuki wieszano na kołkach, przygotowując strzały i cięgiwy.

Kneź ten zwał się Siłomir, a opowiadano o nim, że ma stosunki z jasnymi duchami, które mu dopomagają we wszystkich walkach, a byli tacy, co mówili, że sam Światowid przysłał mu konia, na którym on walczy i dla tego zawsze zwycięża. Lecz to była baśń tylko jakich wiele, bo gdyby Światowid przysłał staremu kneziowi Siłomirowi konia, toby go przecie był obdarzył synem, żeby sława nie zeszła wraz z nim z tego świata, a ciężki łuk i wielką czapkę kneziowską miał komu zostawić. Ale gdzietam, Siłomir miał tylko jedną, jedyną córkę, Widę.

Jedna ona tylko była, ale piękna, jak drugiej trudno znaleźć, nie tylko między ludem podległym staremu kneziowi, a i między sąsiadami, co tuż za górą mieszkali. Wysoką była Wida, jako najpiękniejsza brzoza;—gdy włosy jasne rozplotła, to jej spływały do ziemi; a gdy spojrzała ciemno modre oczy, to człeka przejrzała do głębi. Dziewką była młodziuchną, zaledwie piętnastą poczyniała wiosnę, a siłę miała jakoby najdojrzały wojak. Lecz owa piękna Wida miała serce złe a zawistne. Wiedziała o tem, że jest piękna, bo jej mówiły wody Dunajca, w których, gdy się przejrzała, widziała swoje oczy świecące jakoby gwiazdy, a cała jej postać odbijała się, jako promienie srebrnego księżyca. Często też przychodziła nad wodę, pytając:

— Wodo moja wodo, czyś widziała piękniejszą dziewczkę nademnie?

Woda płynąc w dal szumiała i szumiała, a spływając z wielkiego głazu w toń niezmierzoną, srebrną falą opryskiwała dziewczynę. Wida w tym szumie i w tej srebrnej fali nie słyszała nic innego, jak tylko to, co jęj próżne szeptały myśli; słyszała więc zawsze:

— Wido, niema piękniejszej od ciebie!

A i jakże mogło być inaczej! Dziewczętom, otaczającym Widę, bogini Łado nie poskapiła urody, wszystkim były białe i rumiane, oczy ich błyszczały wesołością i dobrocią, lecz żadna nie dorównała córce knezia wzrostem ni siłą, ni białością lica, ni krasą różową; ani też porównać włosów swoich nie mogła z ogromną kosą Widy.

Dziewczęta służyły jęj, jako córce knezia, ale odstręczała je, wynosząc się z urody; wojacy podziwiali piękność córy Siłomira, lecz ponuro na nią patrzyli, bo nieraz się z nich śmiała, iż chociaż dziewczucha, tak samo łuk dźwignąć może jak i oni; a młodzieńcom wprost mówiła, iż oni niewarci są nawet jęj paznogcia, bo ona każdego w pracy, a też i przy zabawie i przy uczcie prześcignie. Nikt więc do nięj prawdziwego, a szczerego nie miał serca, kochał ją tylko ojciec, a całe w nięj widział szczęście. Myślał nawet o tęp, żeby Wida po jego śmierci, jako mąż a wojak rządziła ludem. Lecz gdy razu jednego powiedział starszyźnie co myśli, wszyscy spuścili głowy, nikt nie rzekł słowa, a milczenie to było doskonałym dowodem, iż nie życzą sobie, aby Wida władzę kneziowską po ojcu dzierżyła.

Widząc to Siłomir zmartwił się niepomału, a gdy następną wiec zwołano, rzekł:

— Widzę ja, że dziewczka moja niemiła byłaby dla was władzą, radźcie więc, co nam uczynić trzeba, ażeby ludu nie zostawić w kłopotcie, gdy mnie bogowie każą z pomiędzy was ustąpić.

— Miłościwy kneziu Siłomirze — rzekł Wielobór, jeden z najstarszych wojaków. — Miłać nam wasza dziewczka i chętniebyśmy ją jako panią przyjęli, lecz uwłaczałoby to naszemu prawu. Jako wiecie, w całej Słowiańszczyźnie mąż zawsze przewodzi ludowi, a w uroczystości jako kneź i kapłan sprawuje obiady, jakżeby dziewczka więc władać miała, kiedy Światowidowi ino mąż obiady składać może.

— Macie wy swój rozum, nie narzucam wam mojego dziecka — odparł ze smutkiem Siłomir, a no wszystkoby pogodzić można.

— A też i pogodzić trzeba, lecz na rządy dziewczki, choćby najpotężniejszej, sami widzicie, kneziu Siłomirze, przystać nie możemy. Niechajby ino wasza objęła rządy, toby zaraz wszystkie tego samego chciały, a takiby się zrobił przewrót pomiędzy ludem, żeby ino niewiasty przewodziły, a nas wojaków chciałyby przy kądzieli zostawić; — przekładał Groźba chwając siwą głowę.

— Radźcie więc, potośmy się przecie na wiec zebrali — rzekł Siłomir, wzdychając.

— Jakoż według mnie — ozwał się Górosąd — postanówmy tak, żeby dziewczka Siłomira nie schodziła z kneziowskiego zamku, lecz przeznaczmy jęj męża i pana, któryby nad nią, nad zamkiem i ludem trzymał władzę. Niechajby nas wiódł, jako wy kneziu na wojnę, składał bogom obiady, a wasza dziewka, jako przystało, przewodniczyła niewiastom i dziewczkom; kolacz piekła, len przedła i jako teraz mężnie stawiała czoło, gdyby wróg w nieobecności knezia chciał zamek nawiedzić.

— A niechajby też bogów uprosiła, żeby nasze dziewczki miały taką siłę, a taką urodę, jako sama knehini — dodał inny z wojaków.

Wszystkim się mowa Górosąda bardzo podobała, lecz z za krzaku od pola wiecowego doleciał śmiech ostry, przykry, a ponad głowami wiecującej starszyny przeleciała, jakby wiatrem niesiona, garść piasku. Lecz starszyna myślała, że to sowa tak zachichotała, a piasek zsypał się z pobliskiej skały. A tymczasem poza kołem wiecowym przemknęła

piękna postać Widy, która chcąc podsłuchać obrady zostawiła dziewczęta nad rzeką, każąc im zbierać kwiaty, a sama podkraǳła się jak mogła najbliżej. Ułyszawszy wyrok wiecu zaśmiała się złośliwie, plunęła do góry i rzuciła garścią piasku, a że silną była, więc i śmiech i piasek rozszedł się daleko.

Potęp kryjąc się, żeby jęj nie postrzeżono, podniosła pięść do góry, pogroziła nią i rzekła:

— Obaczycie, kto nad wami władać będzie, jeszcze wy wszyscy przypadniecie do moich kolan.

Starszyna jednak nie słyszała owych wyrazów dumnej kneziowskiej dziewczki i postanowiono rozpatrzyć się między wojakami, a nawet i u bratnich ludów poszukać jakiego dzielnego młodzieńca, któryby wzięwszy Widę za żonę, władał po śmierci starego knezia!

— A oto — rzekł Siłomir — nadchodzi uroczystość wiosny i słońka. Wkrótce na szerokiej polance rozpalą się ognie i rozpoczniemy doroczne obiady, niechaj się zejǳie najdorodniejsza młódź nasza, niech i pobratymcy przybęǳą; — a kto będzie najdzielniejszy w zabawie, harcach i gonitwach, kto najpiękniejszą pieśń odśpiewa, a najdalej przeskokczy ogień, ten pojmie Widę za żonę i ludem rząǳić będzie.

Jako rzekł Siłomir, tak się też i stało. W ów dzień, gdy słońko najdłużej świeci z całego roku, a ledwie się skryje, zaraz wysyła różową jutrenkę, aby ludzior oznajmiało jego przybycie, wszystko przygotowane do wielkiej uroczystości.

Z dalekich stron przybywano do Siłomira ziemi, bo jako się rzekło, stary kneź miał poważanie u wszystkich pobratymców, a niejednego ojciec wysyłał syna, aby się przypatrzył dzielnej postaci knezia, a mądre z ust jego posłyszał słowo. A teraz jeszcze każdy tęp więcej podażał, gdy się wieść rozeszła, że z pomiędzy przybyłych Wida, jedyna córka starego knezia, ma sobie wybrać męża, a ten nad ludem Siłomira po jego śmierci władzę obejmie. Zaledwie więc nadszedł ów dzień, a pierwsze promienie wschodzącego słońka z za gór się ukazały, poczęła się gromadzić koło zamku młódź ze stron dalekich. Siłomir kazał rzucić most na Dunajcu, by gościom przystęp ułatwić, inni przybywali od źródeł rzeki łodziami, inni pod wodę nawet płynęli od dolnego biegu, byle tylko na owę uroczystość podążyć. A każdy obyczajem słowiańskim niósł dary kneziowi i dary jego córce, a też i przedniejszym w starszynie; ba, i upominki dla dziewcząt, które razem miały do uroczystości ognia stanąć. Więc na łodziach wieziono ogromne, żywe w samotrząsk złowione i zabite niedźwiedzie, żubry, łosie; piękne, wielkie z dalekich wyżyn ptaki, a dla dziewcząt drogocenne z dalekich krajów żółte bursztyny i nanizane na sznurkach piękne świecące robaczki i skorpunki, a i tkaniny barwiste, co taką jaśniały krasą, jako żywe kwiaty.

Gdy się wszyscy zebrali, ułożono na wielkiej polance nieopodal Dunajca stos suchych gałęzi, kneź i starszyna zasiedli na wzgórzach okalających polankę, by przypatrywać się ochocie młodych, niewiasty poniżej starszyny w krag się umieściły, przygotowując poczęstunek dla przybyłych i przypominając sobie owe dni, gdy one jako dziewczuchy do takiejże stawały zabawy.

Już stos drzewa był nałożony, chłopcy z siekierkami w ręku otaczali go dokoła, gotowi do ochoczej zabawy, a tam, od zamczyska trzema drogami biegły dziewczęta w lnianej białej odzieży z wiankami na skroniach. Biegły z ziołami w łoni, a słońko skrywając się za góry zasłoniło sobie chmurą lica, aby nie wstyǳić ognia, gdyby zapłonął zbyt wcześniej. Stojąca przy ognisku młodzież pieśnią witała przybywające dziewczę.

„Idą, idą dziewy miłe, wianki na ich czołach; — lica białe a różowe, każda niesie kwiaty, zioła; każdej serce w pierś skacze, jako małe ptasze; każda szczęście niesie z sobą, przybywajcie nam”.

A starszyna w oddali gór, przejęta ochotą młodzieży, zawołała radośnie:

„Przybywajcie nam!”

I niewiasty, ujrzawszy swoje córki i siostry, poczęły:

„Héj, wy dziewczki, zwawo ino, rzucajcie bylicę, a niech każda się z was śpieszy używać ochoty! a niech każda śmiechem złotym wesołość przyniesie;—a niech każda do rodziny szczęście z sobą wniesie”.

A babule stare też swoje dodały:

„Bo nie krasa, nie uroda, ino praca wasza, czy przy krosnach, czy przy żniwie rozkoszą z bogaca”!

A dziewczyny, zbiegając z góry, zanuciły cienkim głosem:

„Podążamy, jak możemy, jako siły starczy, a gdy słonko schyli skronie, rozniecimy ogieniek; wonne zioła my niesiemy, słonku na obiatę”!

— Słonku na obiatę. — Powtórzyli wszyscy, a dziewczęta czterema drogami wbiegły w owo koło, jako przystało, żeby uprosić słonka, iżby przez wszystkie cztery pory roku promieni swych używały. A chłopcy też zaraz jeli krzesać ogień, aby ze czterech stron stos podpalić. Lecz co który skrzese, to chociaż wypadnie iskra, to się gdzie skryje, a najsuchszej choćby trawy się nie ima, ino gaśnie. Krzeszą, a krzeszą, przestępując z nogi na nogę, a przyspiewując rozmaite pieśni, a ognia jak niema tak niema! Starszyna woła, że już słonko zaraz się skryje, a trzeba żeby jeszcze na ogień spojrzęło, dziewczęta się niecierpliwią, a niewiasty i babule kiwają głowami, powtarzając:

— Oho, za naszej młodości, inaczej bywało.

A ognia jak niema tak niema!

Aż ktoś zawołał, że trzeba ogień z chaty przynieść; przecie w każdej chacie pod popiołem zagrzebane było zarzewie. Lecz jednym tchem zaraz go zakrzyczano, boć od dawien dawna tego obyczaju nie było, żeby na obiatę z chaty ogień przynoszono. Aż nareszcie doszło to do starszyny, że ognia nikt nie może rozpaścić. Siłomir głową pokiwał, a ci co koło niego siedzieli, też się niemało dziwowali.

— A co mi to za parobcy, kiedy nawet ognia żaden skrzesać do obiaty nie zdolen! — mówił Groźba, zły, że się tak nie udaje; boć tam pomiędzy młodzieżą byli i jego synowie, chłopcy jak dęby, a miał ochotę, żeby który z nich najdzielniej podczas uroczystości się sprawował, a rządy wraz z Widą posiadał.

— Dajcie pokój, toć przecie któryś z nich silniejszy będzie nad innych; — rzekł Wielobor, upatrując, azali który z jego synów pierwszy z łuczywem nie podejdzie.

— Ta, przecie jakieś złe chyba się wzięło — utrzymywał Górosąd — boć żadnemu z naszych parobczaków na siłę nie zbywa, bo też i zręczni są i chybitni w pracy; a no i sąsiadom niema co przyganiać, boć i najpiękniejsze smereki nie są urodziwsze od onych — dodał kiwając głową Górosąd, bo nie mając synów, chętnie byłby wyswatał Widę któremu z krewniaków, a miał ich kilku dorodnych w sąsiedniej ziemi.

(d. n.)

PRZED EGZAMINEM.

Rok upłynął, jak trzasł z bicia!
Dla panienki, dla panicza,
Miłe dni przemknęły chwilką,
I egzamin tylko, tylko!
Już za tydzień, za dni parę!
A tu ledwie mgliste, szare
W głowie myśli się kołaczą
Z nauk tylu! — lecz czy raczą
W jedną całość zejść się społem,
Któż odgadnie! a gdy kołem
Na egzamin młodzież stanie
Jak przed sądem, co dostanie...
Piątkę, czwórkę, czy jedynekę.
Brr! kto wyrzekł, wypuść ślinę
Wraz ze wstrętnym tym wyrazem!

Bo wśród młodzi, która razem
Z dziennym braskiem książkę bierze,
A pracując z Bogiem, w wierze,
W trudnej pracy nie ustaje,
Tam jedynek się nie daje!
Dziewczę, ledwo świt zawita,
Już zadania pilnie czyta;
Przypomina, ślęczy, bada,
I w ład w głowie, w sercu składa
Te nauki, co rok cały
Wszystkie chwilki jej zabrały.
A jeżeli wśród pustoty
Czasem dźwięczał śmieszek złoty,
Jeśli myśl zbiegła niesfora,
Dziś potulna i pokorna
Pracą chwilę tę nagrodzi,
I wśród nauk tych powodzi,
Wybrnie gładko jak należy,
Proszę, — niechaj każdy wierzy.

* * *

Chłopiec, chociaż wiosna nęci,
Choć uczniowie i studenci
Idą sobie na wycieczkę.
On — ach, miałyby też troszeczkę,
A nie trochę, lecz chęć całą
Biedz za nimi! Lecz zostało
Jeszcze tyle mu łaciny,
Ba i greki! z własnej winy:
Bo tam kiedyś — zima jeszcze
Gdy ustały śniegi, deszcze,
A lód nęcił go ślizgawką,
On wziął rozbrat z szkolną ławką,
I na łyżwach, tam na stawie,
Cały oddał się zabawie:
Teraz bawią się koledzy;
On zamknięty, cbcuwy wiedzy
Czas stracony powetuje,
Wszystkie książki przewertuje!
Czy algiebra, czy fizyka,
Czy historia, botanika,
Wszystko sobie w ład ułoży,
I egzamin pysznie złoży!
Więc położył się na trawie
I nie myśli o zabawie;
Lecz postawił wody dzbanek,
I co wieczór i co rano,
Wziawszy książkę, głośno czyta.
Myśl nauki w głowie świta,
Gdy się zmęczy gardło młode,
To popija z dzbanka wodę,
A czytania nie przerywa,
Lecz naukę wciąż zdobywa.

.....

Więc gdy przyjdzie chwila owa,
Kiedy młodzież hoża, zdrowa
Po odbytych egzaminie
Wszelkie trudy już pominie;
Niechaj bieży w różne strony,
Niech jej umysł wzbogacony
Siłą wiedzy się ogrzeje,
Niechaj spełni te nadzieje,
Jakie każdy w niej pokłada;
Niech jej sercem wiara włada,
Kraju stanie się ozdobą;
Miła młodzi — Pan Bóg z tobą!

Jan.

DORCIA,

powieść przez Maryą Świderską.

(Dalszy ciąg).

— Ja, proszę panny, umiem trochę szyć, a będę się starała jak najlepiej; jeżeli panna każe co innego, to i owszem, ja się żadnej roboty nie boję, byle ze mnie byli kontenci.

— Proszę ja kogo, jaka ambitna! no, zobaczmy; masz na próbę obregbić te falbany, a jak źle obrąbisz, to palce nakolę, rozumiesz? Obrąbek zaczęty. To ta Frania przebrzydła zaczęła, a potem uciekła zato, że się nad nią tyle namęczyła.

— I dobrze zrobiła — szepnął głos jakiś nad uchem Dosi, już pochylonej nad robotą. Spojrzała, obok niej na niskim stołku siedziała dziewczynka w jej wieku, z czarnymi kędzierzawymi włosami i czarnymi jak małe rodzenki oczkami, w których błyskała psotna jakaś złośliwość — dobrze zrobiła i jabym za nią poszła, tylko że macocha wybiłaby i nazad tu odprowadziła!

— Co tam mruczysz, ty próżniaku, Salka! — fuknęła panna Honorata, a tymczasem rozległ się odgłos dzwonka; stara panna wypadła z garderoby, śpiesząc do pani. W jednej chwili rozwiązały się usta dziewczętom, a było ich dwie prócz Dosi i Salki. Jedna ciekawie wypytywała sierotę, z kąd przyjechała, druga wygadywała na pannę Honoratę, a Salka powtarzała:

— Uciekaj, pókiś żywa, bo cię tu zamęcą na śmierć, tak jak nas.

— A przecież chwala Bogu życie wszystkie! — zaśmiała się Dorotka — za cóż mnie męczyć mają, jeśli będę słuchać i pracować...

— I trawę gryźć w lecie, a siano w zimie — przerwała Salka — bo niewiele więcej dostaniesz do jedzenia; ot i teraz suchego chleba kawałka doczekać się nie można, a budzi nas o czwartej ta wiedźma stara — i niewiele myśląc, rezolutna Salka wyciągnęła języczek ostry, czerwony, w stronę, którą poszła panna Honorata.

Zgorszona patrzyła na nią Dosia, ona, choć w wiejskiej chacie wychowana, wiedziała, że tak robić nie przystoi i jakoś od razu ta złośliwa Salka nie przypadła jej do serca. Dwie inne dziewczynki, Józia i Małanka, były starsze i mniej rozmowne; ta ostatnia zwłaszcza wyglądała jak uśpiona, oczy przymknięte trzymała utkwione w pończochę, którą niby cewowała, ale zdawało się, że jej to wszystko z rąk wyleci.

Pierwszego dnia nie widziała Dosia nikogo z państwa, do wiedziała się tylko od Salki, (która umiała pod drzwiami podsłuchiwać, bo zawsze wiedziała co gdzie mówiono), że pani bardzo się gniewała na wiadomość o przywiezieniu Stefanki, że ich oboje wypędzić chciała, ale pan się temu sprzeciwił, że wreszcie klucznica Grzybowa przemówiła dobre słowo, radząc, żeby chłopca użyć do pasienia gęsi. Zapłakała sierota na myśl, że ich tu nie życzą sobie wcale i że ciężko przyjdzie jej zaopiekować się Stefankiem. Biedactwo co innego sobie marzyło przedtem, bo Dosia, chociaż w wiejskiej wychowana chacie, miała uczucia wiele i myśl rozwiniętą; z tego co dawniej od ojca, potem od matki i innych zasłyszała, wiedziała, że jest świat szeroki, a na nim ludzie, co wiele rzeczy wiedzą i umieją, że są książki, co o tém wszystkiém powiadają i ona też bardzo, bardzo pragnęła się uczyć. Pragnęła też być dobrą, a kiedy ksiądz proboszcz nauczał w kościele, to słuchała duszą całą i zastanawiała się, jak to żyć trzeba, żeby kochać bliźniego jak siebie samego, dobrem za złe oddawać. Wprawdzie ci ludzie, których widziała około siebie, nie postępowali tak, jak ksiądz nauczał, a Pan Bóg przykazywał, ale musieli być inni, lepsi, myślała Dosia, pewno ci, co po dworach mieszkają, bo ci i biedy nie znają, i rozum mieć muszą. Państwo w Nowostawce byli bardzo dobrzy, więc i wszyscy tacy być muszą, sądziła Dorotka. Jadąc do Poradowa, obiecywała sobie, że będzie bardzo posłuszną, pracowitą, ła-

godną, będzie się uczyła rozmaitych rzeczy ciekawych, których potem Stefanka nauczy, bo i on musi być porządnym człowiekiem. Tymczasem na razie poznała, że nie tak to łatwo pójdzie, jak się jej zdawało i serce zabolalo sierotę.

Nad wieczorem wymknęła się na folwark, żeby zobaczyć braciszka i przynieść skrzyneczkę swoją, Stefanek płakał, że musi usnąć bez niej, ale pocziwa Katarzyna zabrała go z sobą i pocieszyła trochę. Co rana Dosia przybiegała ucałować, umyć i uczesać braciszka, zmówić z nim pacierz, potem biegła do garderoby, gdzie ją zawsze czekała połajanka od panny Honoraty, chociaż biedactwo śpieszyło co się i wszystko odrabiało, co było jej obowiązkiem. Pani nie zaglądała nigdy do garderoby; czasem wpadła tam panna Melcia, ale wtedy była w złym humorze, albo też starała się jakiego psikusa wyrządzić dziewczętom: tej wyrwała robotę lub igłę wywlekała, tamtej w nos pieprzem sypnęła albo ją przewróciła ze stołkiem, co się najczęściej biednej, zaspanej Małance przytrafiało. Biedna dziewczyna musiała być słabą, doktor nazwałby to zapewne blednicą czy malaryą i przepisałby wzmacniające środki, gdyby była majątną panienką, wyjazd do Krynicy lub Ciechocinka, ale tu w garderobie biedne stworzenie było tylko przedmiotem żartów lub prześladowań; łała ją panna Honorata, dokuczały towarzyszki i często Małanka płakała całymi godzinami, za co ją znów mazgają przezywano.

Salka znów była to niedobra dziewczyna, zepsuta, kłamliwa, łałoma, każdemu dokuczyła lub figla spletała, a na innych to złożyć potrafiła zręcznie. Józia, najlepsza z nich, ale dumna z tego, że była *szlachcianką*, z innemi wdawać się nie chciała. Wszystkie razem panna Honorata hojnie obdarzała upomnieniami i szturchańcami nawet, albo karała głodem za najmniejsze przewinienie, co było tém uciążliwsze, że i w zwykłym czasie niewiele jedzenia dostawały. Najwięcej na to wyrzekała Salka, która zazdrośnem patrzyła okiem, gdy panienska z przysmakiem jakim do garderoby wbiegała, przesuując go pod nosem służebnych dziewcząt, a nie myśląc, że i im przecież mogło się chcieć czasem zjeść co podobnego, zwłaszcza, że zawsze prawie głodne były.

Razu jednego położyła na stole ciastko waniliowe, żeby włożyć jakieś nowe buciki, z któremi pobiegła do matki, po chwili, za powrotem, ciastka już nie znalazła. Dopiero się wszczął krzyk, szukanie, łajanie, wreszcie zapach wanilii zdradził Salkę, która nazajutrz bez śniadania została, a na obiad tylko kawał suchego chleba otrzymać miała. Dosi się zdawało, że panna Melcia wstawi się za małą winowajczynią, ale gdzie tam! wymawiała jej długo owe nieszczęsne ciastko, przezywając „łakomicą”, „wanilią” i t. p. Dorotka najprzód oddała towarzysze połowę własnego obiadu, potem usiłowała ją przekonać, że nie należy ruszać tego, co do nas nie należy, ale Salka powtarzała uparcie:

— Ja tak samo chcę jeść, jak i oni, a nawet więcej, bo więcej robię, a zawszem głodna, kiedy oni zapychają się od rana do wieczora. Niechby się pochorowali!...

Zamknęła jej usta przerażona Dosia i tłómaczyła, że to grzech tak mówić, a jednak i ona sama była codziennie głodną. Co do nauki, o tém i myśleć nie można było; panna Honorata, zobaczywszy ją z elementarzem w rękę, ofuknęła, że to do niej wcale nie należy nosić się z książkami, które do reszty jej w głowie przewrócą, i zagroziła nawet, że elementarz spali, tak, że Dosia skarb swój ukryć musiała.

Wkrótce potem powiedziano jej, że będzie co rano sprzątała w pokoiku panienski, której też ma posługiwać. Melcia zajmowała ładnie urządzony pokoik obok nauczycielki Francuzki, której znów posługiwała Salka. Mnóstwo tam było rozmaitych gracików i drobnostek, dywanów i dywaników, tak, że sprzątanie i okurzanie tego wszystkiego wiele zabierało czasu. Dosia z natury sumienna, a przez matkę do porządku przyzwyczajona, zręcznie i szybko wywiązywała się ze swego obowiązku, przez drzwi zaś słyszała codziennie hałas, stukanie i krzyki na Salkę, którą biedna Francuzica, nie mogąc sobie z nią dać rady, różnemi polsko francuskimi przydomkami obdarzała np. „A ti, grosse-hête! tluła co... Mala-

dressa... fili i klóci jecz — Va-t'en-pódzi"! i t. p. Melcia zaś, zamiast pośpieszyć na pomoc, śmiała się głośno, albo podpowiadała Francuzce wyrazy najdziwaczniejsze, na które służący ramionami ruszali, albo odwracali się ze śmiechem.

Figle takie powtarzały się często, a miał w nich szczególne upodobanie Mundzio; dzięki nauce jego panna Pichon (tak się zwała Francuzka) za przyjazdem jakiegoś znakomitego gościa z sąsiedztwa, wyprawiła do pani domu lokaja z wiadomością: „Powiedz pani, wielka Świnka jest"... na co naturalnie śmiechem parsknął nietylko służący, ale i gość, który to polecenie przez drzwi usłyszał. Dowiedziawszy się po niewczasie, co to znaczyło, panna Pichon z płaczem i lamentem pobiegła do siebie na górę, wyrzekając na „Ces vilains Polonais!" nie wiem jednak, czy się zastanowiła, że popraco-
wawszy parę miesięcy z pomocą słownika i rozmówek francuzko polskich, mogła oszczędzić sobie przykrości i zapoznać

KRÓLEWICZ.

(PRZEKŁAD Z FRANCUSKIEGO).

W królewskim zamku było wielkie zmartwienie: od kilku tygodni mały królewicz leżał chory, a lekarz nadworny wyczerpał wszystkie swe wiadomości, nie mogąc znaleźć żadnego uzdrawiającego środka.

W kościołach dzień i noc gorzały na ołtarzach świece, a lud zanosił do tronu Przedwiecznego modły o zdrowie dla królewskiego dziecięcia. Ulice miasta zaległa cisza, nie słychać było żadnego gwaru; wszyscy podzielali zmartwienie dobrego króla. Przed zamkiem gromadki ludzi rozmawiały półgłosem, ciekawsi zaglądali w podwórzec, gdzie warta przechadzała się powoli. Po schodach przebiegali dworzanie;



Przed egzaminem (str. 195).

się cokolwiek z językiem kraju, w którym tyłu jęj rodaków znajduje dobry byt i utrzymanie.

Dosi jednak, choć prostą, była dziewczynką, nie przypadały do smaku figle Melci i Mundzia, a zwłaszcza, gdy się przysłuchiwała parę razy, jak odbywali lekcye z panną Pichon. Co tam było nieuwagi, niegrzeczności, wyśmiewania się pokryjomu, min i konceptów! Lekcye naturalnie przy takiem usposobieniu szły jak najgorzej; trzeba było ciągle to samo powtarzać, z czego jednak skorzystała Dusia, która, obdarzona z natury dobrą pamięcią i chciwa niezmiernie wiedzy, nauczyła się w krótkim czasie rozumieć po francuzku i nieźle wymawiać rozmaite wyrazy. Ucieszona tēm panna Pichon, polubiła małą pokojówkę i usilnie prosiła, by ją mogła wziąć sobie do posługi, zamiast nieznosnej Salki. Ta ostatnia powzięła za to nienawiść ku Dorocie, chociaż biedna dziewczynka nic temu winną nie była, i dokuczała jęj też na każdym kroku.

(d. c. n.)

w długich korytarzach wypytywano paziów o zdrowie dziecięcia. Damy dworskie, spotykając się wśród sklepionych komnat, spoglądały na siebie wśród łez porozumiewająco, bo dobre dziecko kochane było przez wszystkich.

W pobocznej komnacie zebrali się uczeni doktorzy; wi-
dać było jak smutnie potrząsali głowami, bo nic dobrego uradzić nie mogą. Przededrzwiami, czekając na ich wyrok, przeczadzali się masztalerz i nauczyciel księcia; pierwszy kłął jak poganin, drugi mrucał pod nosem jakąś odę Horacyusza. Od strony stajni dobiegło długie, żałosne rżenie, to kucyk królewicza objawiał swoją tęsknotę do ukochanego pana.

Król, nie przyjmując żadnej pociechy, oddawał się rozpacz. Nie pozwolił nikomu wchodzić do siebie, nie chcąc, by poddani łzy jego i rozpacz widzieli. A królowa? królowa od rana klęczy przy łożu umierającego dziecięcia, płacząc, jak każda kochająca matka.

Chory zaś, do którego wszystkie myśli były skierowane, leżał w dużej, jasnej komnacie, bielszy od poduszek, na których spoczywała jego główka. Zamknięte oczki pozwalały przypuszczać, że spał; lecz nie, bo oto, na odgłos łkania matki, zwrócił się ku niej, pytając:

— Czemu płaczesz, najjaśniejsza pani, czy myślisz, że umrę? nie bój się, książęta tak młodo nie umierają.

A gdy królowa jeszcze bardziej płakać zaczęła, zawołał:

— Hęj! niech tu przyjdzie czterdziestu halabardzistów i otoczy łożo! niech stu łuczników stanie pod oknami, a biała śmierci, jeżeli się wtedy zechce przybliżyć!

Królowa skinęła — zaspokojono żądanie umierającego dziecięcia: stu łuczników pod oknami stanęło, czterdziestu halabardzistów weszło do komnaty; królewicz klasnął w rączki:

— Pójdź, Michale — zawołał na jednego z nich — pokaż mi szablę! czy ostra? wszak mnie obronisz od śmierci?

— Pragnąłbym, miłościwy królewiczu! I stary wojak odwrócił się, by ukryć dwie grube łzy, toczące się po jego ogorzałym obliczu.

Wtém do łóżka zbliżył się kapłan z krzyżem w ręku — nachylił się do dziecięcia i długo coś mu szeptał do ucha, wskazując na godło zbawienia. Na twarzy królewicza odbiło się zdziwienie.

— Czyżby mój przyjaciel Beppo nie umarł za mnie? On zawsze mówi, że byłby najszczęśliwszy, gdyby mnie kosztem własnego życia od śmierci uratował... — zapytało dziecię zwracając na księdza przygaste oczęta.

Ksiądz znów się nad chorym nachylił i znowu coś długo mu mówił. Dziecię co chwila wzrok na mówiącego podnosiło i coraz więcej zdawało się być zdziwionem.

— To mnie tylko pociesza — rzekł wreszcie chory, że kiedy już nikt za mnie umrzeć nie może, to przynajmniej w niebie będę królewiczem! — A zwracając się do matki, dodał:

— Niech mi przyniosą aksamitne ubranie, płaszcz gro-nostajowy, szablę i złote ostrogi! trzeba aniołkom pokazać czem jestem.

Kapłan raz jeszcze mówić zaczął, dłużej niż poprzednio, wskazując częścię na wizerunek ukrzyżowanego Zbawiciela. W komnacie zaległa cisza, a łagodne słowa duchownego szmerem dolatywały do ucha obecnych.

— Dziecię moje — mówił czcigodny kapłan — szaty twoje i bogactwa są tylko marną błyskotką; tu, wobec ludzi, znaczą wiele, lecz wobec Najwyższego nic ci nie pomogą. Wszystkie bogactwa zostawisz na ziemi, a przed Bogiem staniesz tylko ty, ty sam i twoje dobre uczynki. Przypomnij sobie, możesz co kiedy dobrego uczynił, to cię pocieszy...

Królewicz spojrzał na mówiącego i rzekł:

— Czyż to, że jestem królewiczem, nic przed Bogiem nie znaczy?

— Nic, zupełnie nic — odrzekł kapłan z powagą.

— Więc cóż ja Bogu powiem, gdy mnie zapyta, czy co dobrego uczyniłem? ja nic, nic nigdy dobrego nie zrobiłem, a wszyscy dla mnie byli tak dobrzy!

I zerwał się chłopczyna, usiadł z wysiłkiem na łożu, wo-lając:

— Powiedz, powiedz, co mogę dobrego jeszcze uczynić! Ja chcę coś zrobić dla ludu, dla dzieci takich jak ja! Ach! gdybym mógł żyć, wszystkoby dla dobra innych poświęcić!

I upadł na poduszki, przymknął oczęta, rączki zwiesił bezwładnie, a oddechu słychać nie było...

Królowa przypadła do łoża, uchwyciła zimną rączkę dziecięcia, obecni cicho płakali, a ksiądz półgłosem odmawiał modlitwy.

Nagle królowa wydała okrzyk:

— On nie umarł! on żyje!

— Żyje?! — powtórzył doktor radośnie.

I rzeczywiście chory otworzył oczy i poruszył ustami, wo-lając: pić! Podbiegli dworzanie, aby spełnić żądanie cho-rego.

Od owiej chwili, po śnie długim, królewicz zaczął przycho-dzić do siebie, aż wreszcie zupełnie wyzdrowiał. Lecz to, co przyrzekł sobie w chwili ciężkiej choroby, spełniał przez ży-cie całe.

Zostałszy królem, pragnął szczęścia swego ludu; a gdy kończył życie w odległym kraju podczas wojny za wiarę Ś-tą,

mógł pozostawić szaty królewskie na ziemi, bo dobre uczy-ki świadczyły przed tronem Przedwiecznego, czém był wśród ludzi.

Tym królewiczem był Ludwik IX, król francuzki, święty uznany, który podczas ostatniej wojny krzyżowej zma-w w Afryce z morowię zarazy r. 1291.

L. T.

Sprawozdanie Kazia

Z ZADANIA KONKURSOWEGO.

Chociaż jestem strasznie teraz zapracowany, o czém do nosiłem w zeszłym tygodniu łaskawy kolega, uproszony przeze mnie, aby na ten raz zastąpił mię w korespondencyi, nie chciałem jednak za nic w świecie wyrzec się miłego obowiązku rozsądzania konkursu i wyznaczenia nagród. Zadanie było bardzo trudne, niedużo też nadeszło odpowiedzi, do czego zapewne przyczyniły się i egzamina, z tych jednak niewie-lu, wybrałem aż pięć do nagrody. Tak, niech sobie redakcy-gderze, z tych pięciu nie mogą odrzucić ani jednego, wszy-stkie będą wydrukowane.

Odpowiedź 14-letniej Jaskółki z nad Granicy:

Słyszałam o pewnej dziewczynce, nadzwyczajnie zadat-nej; zwątpiono już, aby kiedyś mogła się poprawić, gdy nad-zwyczajny i smutny wypadek wyleczył ją zupełnie z tej brzyd-kiej wady. Wuj, w którego domu wychowywała się Andzia, miał wrócić z dalekiej podróży. Posłano konie na stacyą ko-lei, dość oddaloną; lecz wuj nie przybywał, pomimo, że już dawno przeszła godzina oznaczona na powrót. Ciocia w nie-spokojnem oczekiwaniu co chwila zbliżała się do okna, gd-y w tém Andzia wbiegła gwałtownie do pokoju, krzycząc z du-lem: „Ciociu, powóz się przewrócił i wujek się zabił.” Cio-cia, jakby gromem rażona, pobladła, chciała iść, lecz za-chwiała się i padła nieprzytomna. Na krzyk Andzi wbiegli domownicy, lecz zaledwie w kilka godzin wróciła do przyto-mności. Tymczasem nadjechał wujaszek, który wywrócił się rzeczywiście na drodze i z powodu uderzenia w głowę zem-dlał, ale nie zabił się, jak to Andzia usłyszała od wieśniaka świadka wypadku, który nie przekonawszy się dostatecznie o całej przysgodzie, przerażony pobiegł z fatalną wiadomością do dworu. Ciocia długo chorowała w skutek okropnego prze-rażenia i byłaby może życiem przypłaciła nierozwagę i gada-tliwość Andzi, gdyby Bóg nie był wysłuchał modłów tej osta-tniej. Odtąd paniętała Andzia, że: „srebrną jest piękna mo-wa, lecz milczenie szczerozłote.”

Odpowiedź 11-letniej Brzózki z nad Giełczwi:

„Srebrną jest piękna mowa, lecz milczenie szczerozłote.” Jest to przysłowie, dające się zastosować w życiu do wiel-u ludzi, szczególnie zaś do dzieci, które lubią dużo mówić a nie mają o czém i najczęściej powiedzą jakąś niedorze-czność. Prawdę, zawartą w tém przysłowiu, mogę potwier-dzić opowiedzeniem zdarzenia z własnego życia. Parę lat temu pewna młoda panienka przepędzała u nas wakacye. Dużo z nią rozmawiając, powiedziałam na koniec i to, co słyszałam od jednej z moich kuzynek o jej macosze, a mianowicie, że nosi peruczkę i bardzo lubi pudrować się i różować. Panienka owa powtórzyła wszystko swojej przybranej matce. Pani ta przy sposobności robiła o to wymówki moim rodzicom, którzy się na mnie za nierozważne gadulstwo i wdawa-nie się w nie swoje sprawy bardzo gniewali. Gdybym, stosu-jąc się do powyższego przysłowia zachowała złote milczenie nie naraziłabym owę pani na przykrość, a rodzicom oszczę-dziłabym zmartwienia na myśl, że ich córeczka jest nieroz-ważną.

Odpowiedź 12-letniej Rybki:

Mowa jest wielkim darem Bożym, który nam ułatwia po-rozumiewanie się z najdroższymi istotami; ale ileż to razy żałujemy wypowiedzianych słów i wyrzucamy sobie, czemu

śmy nie zamilczeli i dla tego to powstało przysłowie: „Mowa jest srebrem, milczenie jest złote.” Następujące zdarzenie z mego własnego życia udowodni prawdę tej myśli.

Rodzice moi żyli w wielkiej przyjaźni z powszechnie uwielbianym biskupem Wnorowskim, który umarł dnia 21 Kwietnia, bardzo od wszystkich żałowany. Mama, nie chcąc martwić babci, zabroniła nam wspominać o jego śmierci, tembardziej, że babunia była słabą od kilku tygodni. Nad wieczorem przyniesiono dziennik, w którym był opis pogrzebu księdza biskupa; mój braciszek, starszy odemnie o dwa lata, zapominając o zakazie rodziców, wbiega do pokoju babuni i woła: „Jest już, jest opis pogrzebu księdza biskupa Wnorowskiego.”

Babunia, usłyszawszy nagle tę okropną wiadomość, tak się przestraszyła, że prawie zemdląca; w największym przerażeniu wszyscy pobiegliśmy ją ratować, ale przez kilka godzin nie mogliśmy jej uspokoić. Mamusia żadnych nie czyniła wymówek memu braciszкови, widząc, iż szczerze żałował tych kilku słów powiedzianych bez zastanowienia i sądzę, że od tąd będzie uważniejszym.

Odpowiedź 8-letniej Trawki z nad Granicy *).

Choć jestem jeszcze taka młoda, bo skończyłam dopiero ósmy rok, jednak miałam sposobność kilka razy przekonać się, że to przysłowie jest prawdziwe. Raz na przykład, przechodząc koło kredensu, usłyszałam, jak dwie służące z sobą rozmawiały i jedna z nich mówiła bardzo niegrzecznie o nieobecnej kucharce. Zamiast zachować to w tajemnicy, poszłam do kuchni i powtórzyłam wszystko głośno, tak, że kucharka usłyszała. Pogniewała się na tę, co ją obmówiła i nawet przyszło do bójki. Bardzo mi się zasmuciła, że z mojej przyczyny powstała taka nieprzyjemność. Mama mi wtenczas powiedziała, że „srebrną jest piękna mowa, lecz milczenie szczerze złote”.

Odpowiedź 14-letniego Cerbera.

Ażeby tajemniczy kolega mój Kazio, którego bym bardzo poznać pragnął, znowu nam nie robił wymówek, żeśmy się do jego zadań plecami obrócili, śpieszę i ja z mojem wypracowaniem; nie wdając się w długie rozprawy, od razu zaczynam od przytoczenia przykładów świadczących o prawdziwości tego przysłowia.

W pewnej wiosce żył wieśniak, którego posądzano o jakąś wielką kradzież, a który nie mogąc się oczyścić z rzuconego na niego podejrzenia, już miał być skazany na ciężką bardzo karę, gdy pewnego dnia zjawia się w tej wiosce nieznany jakiś podróżny, a dowiedziawszy się o całym tém zdarzeniu i nabrawszy silnego przekonania o niewinności tego człowieka, udaje się do sądu i chociaż nie zna obwinionego, tak piękną mowę wypowiada na jego obronę i tak przekonywającymi słowami wykazuje jego niewinność, że sąd uwalnia go od wszelkiej odpowiedzialności. Gdy ten mu za to dziękował, młodzieniec ów tak mu odpowiedział: „Nie dziękuj, Bóg stworzył nas na to, abyśmy sobie nawzajem pomagali!” i po tych słowach odszedł dalej. Czyż taka wymowa nie może być nazwana srebrną?

Jako przykład milczenia, przytoczę takie zdarzenie: W pewnej wiosce popełniono morderstwo; po kuli poznano broń, która znalazła się na plebanii. Proboszcz tej wsi, posadzony o to morderstwo, wysłany został na Syberję. Dopiero w kilka lat potem, na łożu śmiertelném wyznaje organista, że to on był zabójcą, a ksiądz jest niewinny; że po morderstwie był u niego u spowiedzi i wyznał mu całą prawdę; ale ksiądz nie chcąc zdradzić tajemnicy spowiedzi, wołał przyjąć winę na siebie, być potępionym i cierpieć męczarnie w kopalniach. Milczenie tego księdza można prawdziwie nazwać szczerze złotem **).

Jaskółce z nad Granicy ofiaruję książeczkę do notatek w pokrowcu, Brzózce z nad Giełczwi i Rybce małe notesiki

*) Ponieważ mamy już jedną korespondentkę Trawkę, więc dla odróżnienia dodajemy z „nad Granicy”.

**) Zdarzenie to prawdziwie opisane było w „Wieczorach” w Księdze pamiętnych czynów”.

kolorowe, Trawce z nad Granicy mały oleodruk, przedstawiający wiejską dziatwę, Cerberowi fotografią z obrazu Lessera, Śmierć Wandy.

Polecam się życzliwości czytelniczek i czytelników, serdeczny przyjaciel

Kazio.

P. S. Bardzo dobre wypracowania nadesłały jeszcze: 13-letnia Rezeda, 12-letnia Gospoia, 12-letnia Aurykla i 11-letnia Trawka.

WYPRAWA PO ZŁOTE RUNO.

PRZYGODY WĘDROWCÓW W AMERYCE.

(Dalszy ciąg).

XV.

Komanczowie.

Wesołe było nazajutrz przebudzenie naszych wędrowców. Byli wolni. Nilka, tylokrotnie przeklinana od dwóch tygodni, wytłomaczyła im swoje postępowanie, opowiedziawszy nocną wycieczkę do Kiowayów, których usposobienie wybać chciała przez ostrożność. Znalazła ich w największym gniewie przeciw białym, ponieważ myśliwcy biali tylko co zabili podstępnie dwóch Kiowayów. Udała tedy Nilka, że była nieprzyjaciółką i niewolnicą tych, których chciała ocalić i oświadczyła, że pragnie ich przyprowadzić do ojca swego, aby ich ukarał za wszystko, co ona od nich wycierpiała. Tak więc wśród ludzi dzikich udana chęć pomsty lepiej posłużyła do uratowania przyjaciół wdzięcznej dziewczyny, niż otwarta jej przyjaźń, lub szczerze prośby.

— A co? czy księżniczka Nilka nie znalazła się mądrze, jak na piękną księżniczkę przystało?!... — krzyczał Karol.

Po posiłku zaprowadzono Pawła i ojca Anzelma do głębi namiotu wodza Komanczów, który im znowu dziękował za córkę. Sądził on, że ta córka nie żyje od chwili jej zniknięcia i teraz, ujrawszy ją żywą, nie posiadał się z radości, co dowodziło uczuć serdecznych, rzadkich u dzikich. Piorun Grzmiący albo Otumpa, jak go także nazywano, nie miał syna i dla tego tém bardziej cenił mężką dzielność, waleczność, rozum i rozliczne przymioty pięknej swej córki. Od dwunastego roku życia towarzyszyła mu ona we wszystkich wyprawach i niesłychanym wśród dzikich przykładem, uważaną była od dawna przez Komanczów na równi z najznakomitszymi i najdoświadczeńszymi wodzami. Widziano ją po sto razy w walce, rzucającą się z szaloną odwagą w najgroźniejsze niebezpieczeństwa, co też i spowodowało jej niewolę. Jej śmierć mniemana okryła żałobą wszystkie cztery pokolenia sprzymierzone, a cudowne teraz pojawienie się otoczyło ją nowym, jeszcze większym tajemniczym urokiem sławy, brzęcąc po obszarach stepów amerykańskich. Przy ogniskach, na łąkach, głośno teraz mówiono, że gdyby Otumpa, Piorun Grzmiący, miał odejść ze świata, to rada starców dałaby mu za następcę nie kogo innego, tylko piękną, niewyciężoną córkę jego, jakkolwiek byłby to fakt niesłychany w nowożytnych rocznikach Komanczów.

Chociaż siła fizyczna jest potężnym warunkiem wyższości wśród ludów niewykształconych, przecież nie zawsze panuje wyłącznie nad nimi. Odwaga, zimna krew, wymowa, bystrość i rozum, zarówno ważnymi są tam przymiotami. Rzadko się zdarza, aby sławny wódz indyjski nie był istotnie umysłowo wyższym człowiekiem. Tak było właśnie z Otumpą, Piorunem Grzmiącym, i Paweł wraz z ojcem Anzelmem poznali to natychmiast. Otumpa wiedział już dokładnie od córki wszystko, co ona sama o wędrowcach i o celach ich podróży wiedziała, i troszczył się najbardziej o ojca Anzelma.

— Ja tobie wierzę — rzekł — że przyjacielem naszym jesteś, i chętnie cię będę osłaniał, ale wiedz, że od jutra wszy-

cy kapłani-lekarze, jakich sporo jest w czterech pokoleniach Komanczów, będą twymi nieprzyjaciółmi, ponieważ oni sami także nazywają się sługami Wielkiego Ducha, i jeżeliby cię chcieli zgubić, ja nie mógłbym przeciw nim cię bronić. Starajże się z nimi żyć w dobrém porozumieniu, a ja wtedy pewno przeszkadzać ci w niczém nie będę.

Przez dni kilka wódz wypytywał Pawła i Minna o rzekę złotą i o ich zamiary, a przy téj rozmowie oczy mu błyszczwały z wielkiego zajęcia, jak tygrysowi na widok zdobyczy. Ostrożny aż do chytrłości, jak wszyscy dzicy, nie wypowiedział on swéj głównej myśli, ale Minno i Wampa ją odgadli. Piorun Grzmiący, mimo całej swej waleczności, nie mógł przeszkodzić, aby biali ludzie nie urywali mu nieustannie łąk, budując na nich warownie i zwyciężając Indyan dla tego jedynie, że mieli dalekośną broń, z którą łuki nie mogły iść w zapasy. Mała ilość broni palnej, którą Indyanie albo zdobyli na nieprzyjaciół, albo kupili od kupców za niesłychaną ilość skór bogatych, nauczyła dzikich tę broń cenić. Otóż pragnieniem wodza było mieć obfitość strzelb doskonałych, a zdobywać bogate skóry było coraz trudniéj, z powodu wypłenienia zwierza; więc pomyślał Piorun Grzmiący, że gdyby złota rzeka, do której dążył Minno, istniała rzeczywiście, to możnaby dostać się do niej razem z wędrowcami, zyskać skarb, za który nakupiłoby się tyle doskonałej broni, że Indyanie w nią zaopatrzeni, nie ustąpiliby więcéj ani piędzi swych łąk nikomu i jeszcze odebraliby dawniéj im zagrabione przestrzenie ziemi.

Wedle opowiadań Osaga o swém przybyciu do portu San-Francisco na wybrzeżach Oceanu Spokojnego, Paweł narysował był mapę, gdzie oznaczoném było prawdopodobne położenie rzeki złotéj. Pod naciskiem pytań Otumpy, Paweł pokazał mu tę mapę i wytłómaczył jéj znaczenie.

— Cobyś też powiedział — spytał wódz nagle — gdybym z dwustu moimi wojownikami doprowadził cię do celu podróży?

— Byłbym pewnym, że mi się uda moja wyprawa.

— Nie pozazdrościłbyś, gdybym i ja sięgnął po część twojego skarbu?

— Ten skarb byłby wówczas twoim, wodzu, a ja prosiłbym cię tylko, abyś mi pozwolił wziąć zeń część, jakiej mi potrzeba.

Wódz zwrócił się do Minna, pytając:

— Czy złoto, które widziałeś starczyłoby, aby każdy z moich wojowników wziął zeń garść pełną?

— Twoi wojownicy mogliby niém obciążyć konie swoje, a jeszcze nie byłoby znać ubytku — odpowiedział Minno.

Oczy Otumpy zabłysły, zamilkł i przez dwa dni nie wspominał o rzece złotéj.

Paweł nudzić się zaczął na dobre. Karol zaprzyjaźniał się ze wszystkimi Indyanami, jadł, pił, palił tytoń z nimi i stanowczo przyszedł do przekonania, że Komanczowie to poczciwi chłopcy.

— Zmienisz zdanie, gdy ich pierwszy raz zobaczysz walczących — rzekł mu Tomasz — wtedy to ci poczciwi chłopcy przemienią się w pantery i tygrysy krwi chciwe.

Olbrzymia postawa Kanadyjczyka zdumiewała i uszanowaniem napełniała Komanczów, którzy obchodzili go dokoła i mierzyli swoje ręce i nogi z jego nogami i rękami. Widząc to Karol, chciał także zająć i zachwycić dzikich, a to za pomocą różnych sztuczek kuglarskich. Dzicy z początku wytrzeszczali oczy, ale gdy spostrzegli, że patrzą na *udawanie*, rozgniewali się, uważając to za obrazę swéj godności osobi-

stéj, że ich oszukiwać chciano i nagle toporek jakiś zaświ-szczał nad głową Paryżanina... szczęściem, Tomasz, zawsze bacny, schwytał w porę rękę z owym toporkiem i za pomocą ojca Anzelma przywrócił porozumienie pomiędzy Karolem i Komanczami. Dziki oglądał długo swoją rękę zsiniałą w palcach Tomasza i pokazywał ją towarzyszom, poczem zdwojono jeszcze oznaki przyjaznego uszanowania, jakimi otaczano olbrzyma.

Przez cały ranek po tym przypadku Karol trzymał się boku towarzysza, ale około południa poniosło go znów лихо do namiotów kapłanów-lekarzy. Nie zobaczył tam nic nadzwyczajnego. Komanczowie nie mają ani świątyń, ani ołtarzy. A chociaż dzicy znosili ofiary do tego namiotu, to przecież były one jedynie dla owych kapłanów przeznaczone, a ci utrzymywali, że za to wyjednają u Wielkiego Ducha to lub owo.

(D. c. n.)

SZARADA (Malina z Siedlec).

Dwa są przyjmk, *pierwsze i trzecie*
Drugie trzecie czwarte, dar komuś składany,
Czwarte przysłówek, gdy czego nie chcesz,
A wszystko ma odemnie ojczulek kochany.

Łamigłówka głoskowa.

(Od Strzały dla Tereni F. Holakach).

Z następujących zgłosek: a—an—che—e—fa—lis—ni—no—ron—ru—ry—to—tna—usz—ze— ułożyć wyrazy: 1. Nazwa wełny. 2. Imię męskie. 3. Mędrzec żydowski. 4. Rzeka mitologiczna. 5. Wulkan w Europie. 6. Zwierz drapieżny. Początkowe litery, odczytane od góry do dołu, utworzą imię, a końcowe w odwrotnym kierunku nazwisko, sławnego malarza włoskiego z XVI wieku.

ROZWIĄZANIA DO N-ru 23-go.

Szarady:

An — to — ni — na.

Krzyża z podstawą.

		J				
		A				
T	A	C	Y	T		
		H				
		O				
		W				
		N	I	L		
	J	A	C	E	K	
U	R	S	Z	U	L	A

TREŚĆ: Pod zwrotnikiem (z drzew.) — Baśń o paproci p. Z. Morawską. — Przed egzaminem wiersz p. Jana. — Dorcia powieść przez Maryą Świdorską (c. d.) — Królewicz (przekład z francuzkiego) p. L. T. — Wyprawa po złote runo, przygody wędrowców (c. d.) — Łamigłówki i rozwiązania. — W Dodatku: Na co się przyda nauka? — Doskonały sposób, wierszyk p. Azet. — Nieposłuszna, wierszyk. — Rozlany atrament, komedyjka (dokończenie). — Kanarek z angielskiego p. L. T. — Łamigłówka, rozwiązanie, Odpowiedzi Redakcyi i Ogłoszenia. Dodatek książkowy: Mały książę powiastka historyczna przez miss Yonge przekład z angielskiego.

Na co się przyda nauka?

Pan Kos, ptaszek wielce rozumny, utalentowany, i bardzo ostrożny z natury, wybudował sobie piękną chatkę, obrawszy odpowiednie miejsce w bardzo malowniczej okolicy, u stóp drzew rozłożystych. Chatka ta zbudowana była w kształcie cysterny, czyli basenu okrągłego, czyli miski. Ukończywszy pracę, pan Kos przyprowadził do tego domku panią Kosową i ukłoniwszy się jej pięknie, tak rzekł:

— Proszę cię, łaskawa pani, bądź tak dobrą i zamieszkaż w tém letniem mieszkanku, jest ono ciasne wprawdzie, lecz za

z rodziców leciało na łowy dla dzieci, drugie tymczasem nad gniazdkiem zaczynało dawać dziatkom początki nauk właściwych ich wiekowi i stanowisku. Tatuś mianowicie kształcił ich w talencie śpiewania, wykładając tajemnicę naśladowania śpiewu innych ptasząt obcych, którą to tajemnicę Kosy posiadają w wysokim stopniu. Matusia zaś opowiadała im z nauk przyrodzonych np., że one same, jako Kosy, należą do licznej rodziny Drozdów, które są ptaki owadożerne, z dziobem miernym i takimiż skrzydłami i ogonem; nie powiadała im zaś wcale, że skrzydła te mają lotkę pierwszą bardzo krótką, a trzecią i czwartą najdłuższą, bo te i tym podobne rzeczy były dla piskląt zbyt trudne do spamiętania. Mówiła dalej,



Na co się przyda nauka?

to własne, a więc miłsze nam będzie, niż najwykwintniejsze wynajęte pałace. Pani Kosowa uprzejmie główką kiwnęła, i zaraz zajęła się urządzeniem mieszkania. Wkrótce państwo ci dochowali się pięciorga maleńkich dziatki, i życie ich, dotychczas przyjemne bardzo, stało się jeszcze przyjemniejszem, gdyż pieścić dobre dziatki jest rzeczą wielce miłą dla rodziców, ale przytém, jak zawsze w podobnych razach, państwo Kosowie niezmiernie wiele napytali sobie pracy i kłopotów. Pięcioro maleńkich pociech w unękkim gniazdeczku co chwila potrzebowały jeść, dopominając się piskiem słabiuchnym, co chwila też trzeba było jedno posadzić wyżej, drugie niżej trzecie wykręcić ogonkiem po za gniazdko, jak należy w pewnych razach... i t. d. *et cetera*.

Pomimo pracy i kłopotu, wesoło i szczęśliwie jednakże żyła rodzina Kosów. Dziatwa podrasłała zdrowo, w coraz piękniejsze strojąc się upierzeniem, i już nawet, gdy jedno

że liczny ten rodzaj obejmuje kilkadziesiąt gatunków mierniej wielkości, rozproszonęj na całej kuli ziemskiej; że cały ten ród żywi się wiosną i latem owadami, pod jesień zaś rozmaitemi jagodami, które są bardzo smaczne, ale na nieszczęście nadaje także mięsu żyjących niemi ptaków smak i zapach wielce ceniony przez ludzi, co w tutejszych okolicach zdarza się szczególniej z kwiczołami, należącemi także do rodu drozdów, a które dużo jagód jałowcowych jadają. Matusia dawała, że rodowi temu najwygodniej jest latem żyć na letnich pomieszkaniach osobnemi rodzinami, ale zimą lepiej jest zbierać się w gromady, tak niby jak ludzie zjeżdżający się na zimę do miasta, przyczém u drozdów jest ta korzyść, że mogą łatwiej ustrzedz się różnych wypadków, ostrzegając się wzajem o niebezpieczeństwach skwapliwie.

Zaledwie matusia Kosowa taką lub inną podobną naukę kończyła, już przylatywał tatuś najedzony i z zapasami dla

piskląt, rozdzielał im żywność troskliwie, i zabierał się do lekcji, podczas gdy matusia leciała na obiad i po dalsze dla dziatwy zapasy, bo zdrowe to bieuactwo gotowe było co chwila dziobkiem ruszać posilając się. Dzieci uważnie słuchały nauk matki, rozumiejąc dobrze, że każde dziecko powinno dokładnie na pamięć wiedzieć kto jest? jak się nazywa? kto jest jego rodzina? gdzie mieszka? i czém się zatrudnia? a to dla tego, aby zabłądziwszy na świecie, umiało przynajmniej dopytać się o swoich i powrócić do nich. Ale chociaż posłuszne kosiątka rozumiały całą potrzebę tej nauki i przeto chętnie się uczyły, to przecież jeszcze chętniej zabierały się do lekcji z tatusiem. Tatuś, stanąwszy nad gniazdkiem i przychyliwszy się troszeczkę, śpiewał najprzód bardzo łatwe piosnki, potem z czasem coraz trudniejsze, jakie przeróżne ptaki w lesie śpiewają, aż do wielkich przechodził aryj włoskich, francuzkich, niemieckich, jakie zdarzyło mu się słyszeć, gdy piękni państwo, przyjechawszy do lasu na majówkę, śpiewali sobie dla własnej zabawy. Dziateczki powtarzały za tatusiem usilnie co tylko on śpiewał, i chociaż nie koniecznie im się to udawało z początku, przecież od razu widać było, że mają wielkie w tym kierunku wrodzone zdolności, i że z czasem będą mogły wykształcić się na niepospolitych leśnych śpiewaków, artystów znakomitych takich, jak sam tatuś przynajmniej. Bardzo ich też lekcye te bawiły i wszystkie pieśni podobały im się niezmiernie. Wtém raz, gdy właśnie miała rozpocząć się miła nauka, niespodzianie rozległ się w pobliżu świst przeraźliwy taki, że ptaszki muzykalne aż oczki zmrużyły i przycupnęły w gniazdku jak najgłębiej ze strachu. Sam tatuś przycupnął także, a po chwili gdy wstał, zaczął słuchać uważnie, jak ten sam świst powtarzał się coraz ciszej, aż ucichł, ponieważ ten, co go wydawał, odchodził coraz dalej.

— Fe, tatusiu, cóż to za brzydki ptak krzyczy tak przeraźliwie! — spytały wtedy dziatki, ale jakże się zdziwiły, gdy tatuś odkrząkawszy zagwizdał raz, drugi i dziesiąty, w tenże sam przeraźliwy sposób.

— Aj, tatusiu, dosyć, bo uszy bolą od takiego śpiewu! — rzekły dzieci.

— To trudno, moje dziatki, musiałem sobie powtórzyć aby nie zapomnieć — odpowie tatuś.

— Jakto? umiając tyle przesłicznych pieśni, czyliż chcesz i to spać?

— Tak, moje dziatki, i wy nauczyć się tego musicie, ponieważ powinniśmy uczyć się zawsze i wszędzie, gdy mamy sposobność skarby nauki zdobywać. Zresztą dowiedźcie się, że to nie jest żadna pieśń i nie ptak ten głos wydaje, lecz człowiek to gwizdże na psa. — Tak powiedział tatuś i kazał uczyć się dzieciom trudnego gwizdania, mówiąc, że żadną nauką gardzić nie należy.

Tak odbywały się miłe lekcye tatusia, gdy raz, w chwili gdy z wielkimi przejęciem wyśpiewywał z dziećmi słynną i znakomitą aryę *Grâce, Grâce* Meyerbeera... z pomiędzy gęstwiny wysunął się pocichu długi pyszczek chytrego lisa i bystre jego oczy skierowały się na smakowitą rodzinę śpiewaków... Ptaszyny zdrętwiały, poznawszy straszego nieprzyjaciela, a wtém tatuś ich niespodzianie jak nie zagwizdże w taki sposób, jak człowiek na psa!... Lis doświadczony tylko się mignął i znikł, uciekając jak strzała, bo pewny był, że to znowu strzelec oddawna na lisa dybiący nadchodził ze psem i strzelbą...

— Czy bylibyście odgadły, moje dzieci, na co przydać się nam miało to trudne gwizdanie? — spytał wtedy tatuś swój ocalonej rodziny.

DOSKONAŁY SPOSÓB.

Andzia Cioci raz pytała:

— Czemu Andzia taka mała,

Taka mała, aż zł ść bierze?

Na to Ciocia: — Ucz się szczerze,

Ucz ochotco, swawolniczo,

A przekonasz się, różyczko,

Że urośniesz przy stoliku,

Jak roślinka na deszczyku.

Więc się Andzia pracy chwyta,

Dniem i nocą pisze, czyta,

Aż przy pracy zapomniła,

Czy jest duża? czyli mała?

A tymczasem biegle lata;

Wtém się raz odezwie Tata,

Gdy biegła wśród podwórza:

— Jaka też ta Andzia duża!

Skoczy Andzia do zwierciadła

Patrzy, aż tu Ciocia zgadła!

Zgadła Ciocia, że o wiosnie,

Kto się uczy ten urośnie.

Azet.

NIEPOSŁUSZNA.

— Nie rusz, Franiu, samowara!

Powiedziała niańka stara.

Ledwo się odwróci niania,

Już wyciąga rączkę Frania,

Sięga, sięga, aż dostanie,

A wtém ukrop oblał Franię!

Azet.

ROZLANY ATRAMENT.

KOMEDYJKA W JEDNYM AKCIE.

(Dokończenie).

Scena IV.

Ciż SAMI, RYSZARD I WALUŚ.

(Ryszard i Waluś wchodzą, jeden z piłką w ręku, drugi z hełmem na głowie i pałaszem u boku).

GUCIO (zwracając się do Ryszarda).

Ryszardzie, powiedz mi, kto to rozlał atrament na taburet Wujenki; widzisz, wszystkie siostrzyczki są pomartwione, a Mama będzie się na nie gniewać. Może to ty?

RYSZARD (z oburzeniem).

Co, ja? Aha! Dobrzy jesteście! Sami zrobili a skła dają winę na drugich — tak, tak, znam was, moi drodzy! (do Walusia) Prawda, Walusiu, widzisz, jak oni nas zawsze posądają; to już za nadto.

WALUŚ.

O, do tego, oni zawsze gotowi, ale do czego innego, to ani be, ani me. Kłótnie i zabawy im tylko w głowie.

ZOSIA.

A to nam prawią morały! Jacy mi!

MARYNIA.

Może oni myślą, że będziemy przed nimi klękać na kolanach.

WALUŚ.

Zapewne, zapewne, właśnie, że o tém myślimy.

EMILKA.

A my myślimy, że to wy rozleście atrament (do Walusia) pewno to ty? co? przyznaj się.

WALUŚ.

O! wcale nie ja, najprędzej ty sama.

JANINKA (płacząc).

Ach! ale któż?!

GUCIO.

Janiu kochana! proszę cię nie płacz, bo oczy ci zapuchną, a może da się to jakim sposobem naprawić?

EMILKA (również płacząc).

Ale gdzie tam, zlany kompletnie. Ja bo nie mogę tego zapomnieć, tyle było przy tém pracy.

RYSZARD (do Walusia).

Mój kochany Walciu, chodźmy z tą lepiej, bo może i my się jeszcze w końcu popłaczymy, (udaje że płacze, a potem śmieje się) ha! ha! ha! (wychodzą).

Scena V.

ZOSIA (chodząc po pokoju).

Ależ to okropne; że nie można się dowiedzieć kto jest winien temu wszystkiemu; mnie się jednak ciągle zdaje, że to Waluś z Ryszardem; (po chwili) fatalna sprawa! Jak to powiedzieć Mamie i Wujence.

JANINKA.

Co tam tak do siebie mówisz? Pewnie o tym nieszczęsnym taburecie.

ZOSIA.

Tak, Janinko, rozmyślam nad tém, jakto powiedzieć Mamie.

GUCIO.

Chcesz? powiem, że to ja zrobiłem, dobrze?

WSZYSTKIE DZIEWCZYNKI RAZEM.

O! jakiś ty pocziwy! ale my się na to nie zgadzamy.

GUCIO.

No, to jak chcecie żeby powiedzieć?

EMILKA.

Doprawdy, nie wiemy jak...

MARYNIA.

Może najlepiej nic?

Scena VII.

CIŻ SAMI, PANI MALSKA.

P. MALSKA.

Słyszałam, że ktoś rozlał atrament na taburet Wujenki? proszę się przyznać, kto to zrobił?

DZIECI (pomieszane).

Proszę Mamy — nie... nie wiemy... kto.

P. MALSKA (uśmiechając się).

Jakto, nie wiecie?

GUCIO.

Nie, Mamusiu, nic nie wiemy.

P. MALSKA.

Nie, nie mogę dłużej wytrzymać, moje dzieci kochane; otóż kot jest winowajcą.

DZIECI RAZEM.

Kot!

P. MALSKA.

Tak, moje dzieci, kot wskoczył na półkę, gdzie stała flaszeczka z atramentem, zrzucił ją...

JANINKA.

I rozlał atrament! To dopiero! a ja myślałam, że to Gucio!

ZOSIA.

I ja także.

EMILKA.

A ja, że Ryszard!

MARYNIA.

Ja zaś byłam pewna, że to Waluś.

GUCIO.

A ja wam się przyznam, że nic nie mówiłem, lecz byłem pewny, że to Zosi i Emilki sprawa.

RYSZARD.

Zupełnie tak samo, jak i ja. Jakaście na nas napadły, że to my z Walusiem wyleiliśmy atrament, to zaraz sobie pomyślałem: oho, oho na nas skłajają, ale to z pewnością sprawa dziewczynek.

WALUŚ.

Aha, prawda, i zarazem mnie trącił, a ja ci odpowiedziałem: ulu.

P. MALSKA.

Otóż widzicie, moje dzieci, nie trzeba nigdy nikogo o nic posądzać, dopóki się nie przekonamy, kto był sprawcą złego, niechaj wam ten rozlany atrament będzie na zawsze nauką. Ale teraz, moje dziewczynki, trzeba pomyśleć jakby to złe naprawić! (przypatruje się bliżej taboretowi, dziewczynki ją otaczają).

GUCIO.

Kot! kot!

WALUŚ.

Trzeba wypędzić sprawcę złego!

RYSZARD.

Hejże na kota!

ZOSIA.

Tylko go nie bijcie!

EMILKA.

Ja nie dam bić kota!

MARYNIA.

Przecież on nie wiedział, że to atrament!

JANINKA.

Proszę bardzo, Mama się nie gniewa, a oni chcą bić kota! (Podczas całej rozmowy dzieci biegają po scenie, goniąc na wszystkie strony kota; gdy kot wybiega za drzwi, dzieci za nim).

P. MALSKA (wołając).

Dzieci! dzieci! dajcie pokój.

(Kurtyna spada).

Sarenka.

KANAREK

Z ANGIELSKIEGO PRZEZ L. T.

ROZDZIAŁ I.

Daleko od nas, w Anglii, żyły dwie dziewczynki, Edyta Leigh i Natalia Brown, których historią chcę wam opowiedzieć.

Edyta Leigh była jedynaczką, mieszkała z rodzicami w pięknym starym zamku, w hrabstwie Kent i była bardzo szczęśliwa. Miała mnóstwo zabawek, miała baranka, dwa białe króliki, srebrnego bażanta i kilkoro ślicznych malutkich kurczątek, a w jej pokoiku w oknie wisiała klatka z żółtym prześlicznym kanarkiem. Miała ogródek, a w nim była sadzawka ze złotymi rybkami, cienista altanka, a nawet mała ciaplarnia, gdzie w zimie wstawiano rośliny potrzebujące więcej starania i łagodniejszego powietrza.

Ponieważ była jedynaczką, rodzice dostarczali jej jak najwięcej rozrywek, żeby się nie nudziła bez towarzystwa innych dzieci.

Ze wszystkich zwierzątek i zabawek Edyta najbardziej lubiła swego kanarka. Bo co też to był za ptaszek! jaki oswojony, a jak kochał swoją małą panią! Całował ją przez pręci ki klatki, siadał na jej głowie. jadł z rączki; oprócz tego, śpiewał jak słowik i Edyta myślała, że niema chyba pod słońcem drugiego równie miłego kanarka.

Albo że na świecie niema nic do konalego i zamek rodziców Edyty nie był bez wady. Z powodu znacznej ilości drzew otaczających go, w jesieni stawał się wilgotnym i zimnym.

Zdarzyło się raz nawet, że Edyta zaziębiła się i bardzo mocno churowała, a rodzice postanowili odtąd wyjeżdżać w jesieni do morskich kąpeli i nie wracać, aż z początkiem zimy.

Gdy nadszedł Październik, państwo Leigh wyjechali więc na sześć tygodni do Folkestone.

Edyta, jak w ogóle wszystkie dzieci, bardzo lubiła zmiany,

cieszyła się niezmiernie na myśl kąpieli w morzu, zabawy na wybrzeżu i jazdy na osiołkach.

Smuciło ją jednak, że na tak długo będzie musiała opuścić ogródek, baranka, kureczątka i króliki. Kanarka zaś Mama pozwoliła zabrać ze sobą.

Podróż niedługo trwała, bo Folkestone leży także w hrabstwie Kentu. Koło trzeciej po południu pp. Leigh przybyli do domu na Bouverie Square, wynajętego na cały czas ich pobytu.

W pokoju Edyty przy oknie był duży gwoździec, powieszono na nim klatkę z Pipem, który wkrótce już skakał i śpiewał, tak wesoło jak w domu.

Edyta również była wesoła, wszystko było tu dla niej nowem i ciekawem, słońce jasno świeciło, fale morskie rozbijały się o brzegi, gromadki dzieci bawiły się w ogrodzie, lub przejeżdżały ulicą na osiołkach.

Edyta przyglądała się temu wszystkiemu z okna; lecz poszła spać wcześnie, bo chciała, żeby jutro jak najprędzej nadeszło i żeby ona także mogła biegać i bawić się z innymi dziećmi.

Nazajutrz, zaraz po śniadaniu pani Leigh udała się z Edytą na wybrzeże, gdzie dziewczynka biegała, bawiąc się do woli.

Następnie poszły kniść dla Pipa sałaty, której codziennie dostawał z ogrodu Edyty.

Pani Leigh wkrótce znalazła owocarnię i weszła do sklepu, a Edyta została przededrzwiami, rozglądając się ciekawie po ulicy. Wkrótce zbliżyła się do niej jakaś uboga odziana kobieta, pchająca przed sobą wózek z jarzynami i owocami, a koło niej, trzymając się za spódnice matki, szła mała dziewczynka w wieku Edyty. Była szczupła i blada a tak wyglądała, jakgdyby dawno nie jadła dobrego obiadu.

Była to Natalcia Brown. Dziewczynki przypatrywały się sobie ciekawie, aż wreszcie matka Natalki, sądząc, że Edyta chce coś kupić, stanęła, mówiąc:

— Mam smaczne gruszki, orzechy, siemię i sałatę dla kanarków i muchotrzep dla skowronków.

— Ach! sałata — zawołała Edyta, zatrzymując się chwilę — tylko Mamę poproszę.

I wbiegła do sklepu, wołając:

— Mamusia, jakaś biedna kobieta przyszła z sałatą.

— Dziękuję ci, kochanko, ale kupiłam już tyle, że przynajmniej na tydzień wystarczy Pipowi — odpowiedziała Mama, a zwracając się do kupca objaśniała go, gdzie ma odesłać zakupione owoce.

Edyta widziała, że Mama jest zajęta, i nie chce, żeby jej przeszkadzano, wyszła więc ze sklepu.

— Mama już kupiła wszystko, czego jej było potrzeba — powiedziała.

Przekupka smutnie na nią spojrzała.

— Ach, jaka to szkoda, panienko, jeszcze dziś nic nie sprzedawa.

Edycie żal się zrobiło biednej kobiety i jej małej córeczki, która miała takie duże, ładne oczy.

— Czy jesteście bardzo ubogie? — spytała.

Natalka otwierała już usta, żeby odpowiedzieć, gdy pani Leigh zawołała Edytę, i dziewczynka musiała odejść.

— Ach, Mateczko, tam jest taka biedna kobieta, proszę cię, daj mi parę groszy.

— W tej chwili, Edylko — odparła Mama. — Weź ten pakiecik, to sałata dla Pipa.

Edyta z niecierpliwością czekała na Mamę, wreszcie wyszły ze sklepu.

— Ona tak biednie wygląda, i taka jest smutna, a jej córeczka pewno nie starsza odemnie — rozpowiadała dziewczynka. Wyszedszy na ulicę, nie spostrzegły już ani Natalki, ani jej Matki.

Pani Leigh rozglądała się na wszystkie strony, napróżno jednak. Wózka z owocami nigdzie nie było.

(d. c. n.)

SZARADA.

(Od Różyckiej dla Gucia z Wierzbicy).

Pierwsze z trzeciem na twarzy latem miewacie,
Gdy po słońcu zadużo biegacie;
Drugie z trzeciem zwierzętom zdoła głowę,
Miewają je leśne i domowe.
Wszystko jest z mąki, sera sporządzane,
Ze smakiem przez was bywa spożywane.

ROZWIĄZANIA DO N-ru 23-go.

Łamigłówki w kwadraciku:

R	A	J
A	R	A
J	A	N

Skrzynka do listów.

Pani XX. Wierszyk zawiera myśli bardzo piękne, lecz forma dużo pozostawia do życzenia, tak pod względem rytmu, jak i rymów. Może też miłą stanowić pamiątkę w kółku rodzinnem, do wydrukowania jednak się nie nadaje.

Wilczyko dziwnymi drogami wysyłać musi swoje liściki; oto i ten, datowany 15 Kwietnia, otrzymaliśmy dopiero w Czerwcu, poprzedniego zaś, o którym jest wzmianka, nie widzieliśmy wcale. Niesłusznie też posądza Wilczyko redakcyą, że zapomniała o tak miłym korespondencie i serdecznym przyjacielu; byłoby to ze strony redakcyi rzeczą niedarowaną. Liścik zawiera smutne wiadomości o korespondentkach naszych, sąsiadkach Wilczyska. Mamy nadzieję, że kochane te dziewczątka przysły już do zdrowia, niech też Wilczyko doniesie nam o tém, pamiętając, aby liścik nie wędrował przez dwa miesiące, zanim się do Warszawy dostanie.

NA PENSYI WYŻSZEJ ŻEŃSKIEJ Maryi Matuszewskiej

PRZY ULICY LESZNO NR. 28 W WARSZAWIE.

Znajdą pomieszczenie na dogodnych warunkach uczennice: przychodnie, pensyonarki, pół pensyonarki, oraz przysposabiają się panienki do zdania egzaminów w gimnazyum.

OGŁOSZENIE.

Młody chłopiec czternastoletni, starannie wychowany, poszukuje towarzysza na wyjazd do Krynicy w porze wakacyjnej. Gdyby który z panów nauczycieli lub ojców rodziny chciał zabrać go z sobą, zapewniając mu opiekę troskliwą, raczy zgłosić się listownie do naszej redakcyi, podając adres i warunki.

Prenumeratorów półrocznych i kwartalnych upraszamy o wczesne składanie prenumeraty, dla uniknienia zwłoki w odbiorze Pisma.